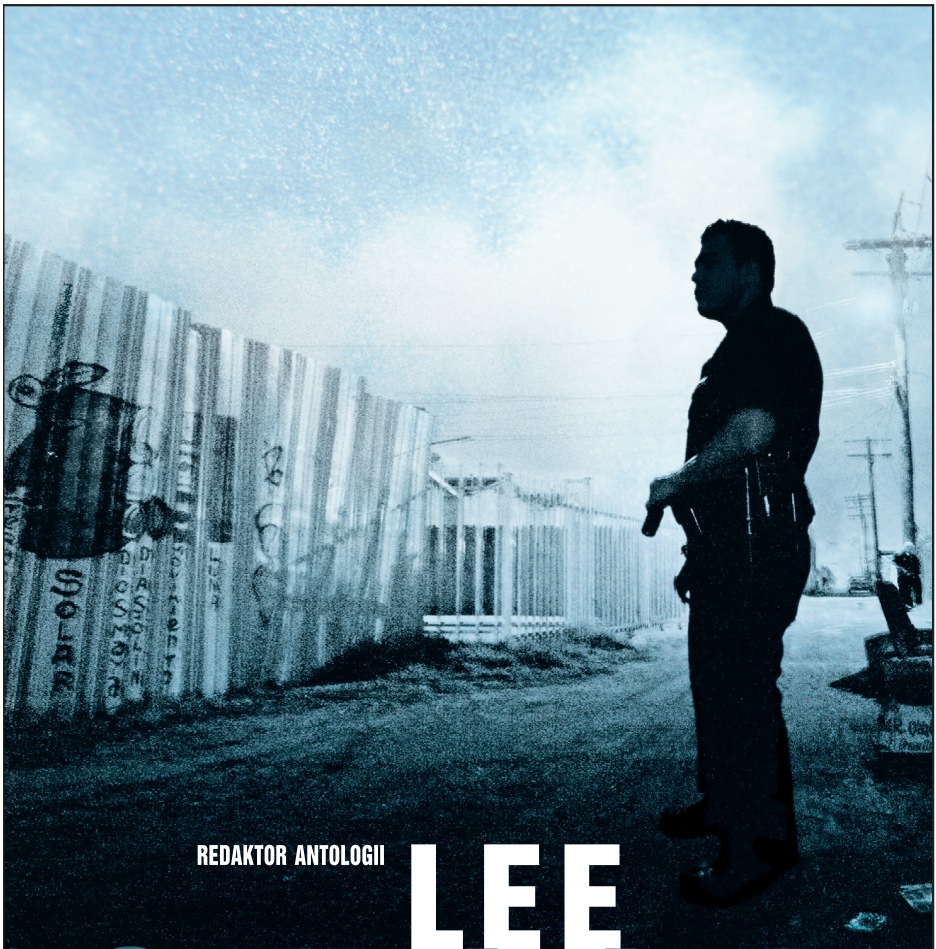




REDAKTOR ANTOLOGII

LEE

CHILD

Najlepsze amerykańskie
opowiadania kryminalne
2010

Gary Alexander

Charlie i piraci

Z „Alfred Hitchcock's Mystery Magazine”

Imię jego: Juan Gama. Pod takim mianem występuje. Nie jest Latynosem, ale jego skóra ma śniady odcień dzięki syryjskiej krwi ze strony matki. Ujdzie, w każdym razie jeśli chodzi o tego wścibskiego *gringo*, który zwie się Charlie i siedzi przy sąsiednim stoliku.

— Historia Campeche jest niezwykła — mówi Charlie Peashooter, obok słodkiej bułeczki i soku pomarańczowego leży otwarty przewodnik. — Jedyne prócz kolumbijskiej Cartageny miasto w obu Amerykach otoczone murem, który miał odstraszać piratów. Z pewnością wie pan o tym, *señor*. Przepraszam, jeśli nudzę.

Juan uśmiecha się blado i przytakuje głową, starając się udawać, że angielski to dla niego obcy język. Siedzą w La Parroquia, kawiarence pod gołym niebem przy Calle 55. Jajka i kawa na śniadanie to domowa rutyna, do której przywykł. Wie, że rutyna i schematyczne zachowania mogą być niebezpieczne, ale sześć miesięcy w Campeche przytępiły jego czujność.

Leżące na półwyspie Jukatan nad Zatoką Meksykańską Campeche odpowiada wielkością Tacomie i Shreveport. Jest tropikalne i malownicze, poza tym mało kto je odwiedza. Juan Gama przypuszcza, że zwykle przebywa tu około pięciuset

przyjezdnych, w tym różnej maści europejscy *gringos*. Gdyby doszli do wniosku, że uciekł na południe od granicy, to przeszukiwaliby gorące miejsca w rodzaju Acapulco czy Cancún, gdzie można zaszaleć w większym stylu.

Juan Gama skończył właśnie dwadzieścia cztery lata. Choć jest ubrany tylko w podkoszulek i szorty, udaje mu się zachować nieco niechlujny wygląd. Jego okulary w drucianych oprawkach są brudne, a kręcone czarne włosy rozczochrane. Jest chudy i odrobinę niezgrabny, utył też około siedmiu kilogramów, głównie w pasie. Od lat nie czuł się tak rozluźniony.

— Pirat — powtarza i udaje, że to słowo sprawia mu trudności.

— Zgadza się — potwierdza Charlie, zaglądając do przewodnika. — Proszę posłuchać: angielscy, holenderscy i francuscy piraci płądrowali regularnie Campeche od chwili jego założenia w szesnastym wieku. Dziewiątego lutego tysiąc sześćset sześćdziesiątego trzeciego roku połączyli swe siły i zabili wszystkich mężczyzn, kobiety i dzieci. Po tej napaści kolonialne władze hiszpańskie postanowiły otoczyć miasto murem. Zamiar ten zrealizowano w ciągu następnego półwiecza i wyeliminowano zagrożenie. Od tej pory każdy atak piracki był odpierany.

Nie wszystkie kobiety zostały zamordowane, w każdym razie jeśli wierzyć Teresie, dziewczynie Juana, która ma bzika na punkcie tego tematu. Teresa po prostu wie, że pewna jej antenatka przeżyła — piękność, którą zniewolił kapitan piratów. Prześladuje ją wewnętrzny konflikt z powodu pirackiej krwi, która płynie w jej żyłach, i tego, co uczyniono z jej przodkami.

Juan nadal kiwa głową, uśmiechając się przy tym.

Charlie zainicjował rozmowę i się przedstawił. Jest starszy od Juana o dziesięć lat. Szczupły, muskularny i opalony, w eleganckich spodniach i pulowerze, ma proste i białe zęby. Przedziałek we włosach jest równiutki niczym promień lasera. Miła powierzchowność świadcząca o prywatnej edukacji, choć nos wydaje się zbyt długi, a bruzdy nosowe zbyt wyraźne, by

człowiek ten mógł uchodzić za hollywoodzkiego przystojniaka. Uśmiecha się często, a niebieskie oczy unikają bezpośredniego kontaktu. Mówi barytonem o doskonałej dykcji i pachnie wodą kolońską.

Charlie emanuje niewymuszoną sympatią. Traktuje Juana jak gospodarz popularnego programu telewizyjnego swojego gościa.

— Tak. Bardzo ciężkie czasy — mówi Juan, znów skupiając się na jawkach.

— W rzeczy samej. Definicja piractwa jest obecnie odmienna i bardziej złożona. Jeden ze słowników określa ją jako bezprawne wykorzystanie czyjegoś wynalazku, dzieła albo koncepcji. Odnosi się to głównie do kwestii naruszania praw autorskich. Te firmy produkujące oprogramowanie dosłownie szaleją, prawda? Oczywiście, sens pojęcia „piractwo” jest jeszcze szerszy. Dotyczy na przykład metodycznej manipulacji przy grach losowych na terenie trzech stanów. Manipulacji wartej dwa miliony dolarów.

Juan Gama wypuszcza z dłoni widelec i podnosi wzrok.

Charlie Peashooter uśmiecha się zniewalająco.

— Sądziłeś, Juanie, że przyślą jakiegoś osiłka, który połamie ci palce?

Juanowi Gamie dosłownie odebrało mowę.

— Spokojnie. Tak robiło się kiedyś, za dawnych czasów. Proszę, dokończ swój posiłek. Potem pogadamy.

• • •

— Jestem konsultantem — wyjaśnia Charlie, kiedy spacerują *malecon*, czyli bulwarem biegnącym wzdłuż Zatoki Meksykańskiej. — Zrozum to, Juanie. Przysłano mnie tu w celu negocjacji, rozwiązania tego problemu. Jestem rozsądnym człowiekiem, a moi zlecniodawcy to rozsądni ludzie. Ot i wszystko.

Idą pod gorącym bezchmurnym niebem. Woda ma wyrazisty odcień stłumionej zieleni, niczym oranżada z limonki.

— Jak mnie znalazłeś?

— Będę mówił do ciebie „Juan”, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

— Nie mam.

— Wyszkoliłeś brygadę facetów potrafiących liczyć karty, i to na skalę dotąd nieznaną. Szliście jak burza i zgarnialiście pieniądze, zanim kasyna zdążyły sobie uświadomić, co się stało. To byli twoi kumple z korporacji studenckiej, starzy przyjaciele z lat szkolnych?

— Nie. Chłopaki z akademika, niektórzy wciąż się uczą — mówi Juan.

— Wynagrodzenie?

— Pięćdziesiąt procent minus koszty przelotu, wyżywienia i hotelu.

— Zarobić i zwiać, że się tak wyrażę. Istny blitzkrieg. Szkoliłeś ich i wymieniałeś tak szybko, że znikali, zanim ktokolwiek zdążył puścić w obieg ich zdjęcia. Twój system był druzgocąco prosty i skuteczny. Krupierzy od blackjacka, którzy widzieli już wszystko, jak im się zdawało, ani razu się nie połapali. *Chapeau bas*, szanowny panie.

— Hm, dzięki. Ale jak mnie znaleźliście?

— Wszystko zależy od zasobów, jakimi się dysponuje. Każdy się złożył i główkował. Ustalenie twojego miejsca pobytu było prawdziwym wyzwaniem.

— Liczenie kart nie jest przestępstwem, sam wiesz. Jeśli ktoś się orientuje, jakie karty zostały w podajniku, to szanse przechodzą z kasyna na gracza. To wszystko.

— Kwestia etyki.

Juan Gama wybucha głośnym śmiechem.

— Och, przyznaję, że to hipokryzja, ale tak już jest — zapewnia Charlie. — Tak czy owak, moi zleceniodawcy chcą odzyskać swoje pieniądze.

Juan jest bliski zwymiotowania posiłku. Przystaje i bierze głęboki wdech.

Charlie kładzie mu dłoń na ramieniu i uśmiecha się przyjaźnie.

— Juanie, proszę, spróbuj się odprężyć. Wszystko będzie

dobrze. Gangsterzy pokroju Bugsy'ego, Moe Greena czy Williego Szpikulca już od dziesiątków lat nie robią w tym interesie.

Juan wzdryga się w duchu.

— Chodzi ci o negocjacje?

— Właśnie. Ludzie, którzy prowadzą w dzisiejszych czasach kasyna, wywodzą się z dużych korporacji. Są pokłosiem konglomeratów rozrywki i hierarchii plemiennej. Rozumieją, że przetrącone kolana nie wpływają dodatnio na bilans. Pojmują znaczenie kompromisu i decyzji biznesowych.

Juan kiwa ponuro głową.

— Podział pół na pół zapewnił ci około miliona dolców. Wygląda na to, że żyjesz konserwatywnie. Z drugiej strony nie oczekujemy, że odłożyłeś wszystko co do grosza.

— Zgadza się.

— Odliczamy to, co zapłaciłeś tym swoim chłopakom. Jestem upoważniony pozostawić ci dziesięć procent. Na czysto. Oddasz nam dziewięćdziesiąt procent z miliona, a resztę sobie zatrzymasz. Tutaj to oznacza, że jesteś ustawiony na całe życie. Traktują to oszustwo jako chesne za naukę, której im udzieliłeś. Co ty na to, koleś?

— Hm. Tak. Okay.

— Kiedy?

Juan wpatruje się w wodę oceanu.

— No cóż, nie trzymam tej forsy w walizce pod łóżkiem.

Charlie parska śmiechem.

— Aha. Zagraniczne banki?

— Wielki Kajman — improwizuje Juan.

— Specjalizowałeś się w statystyce, zanim porzuciłeś uczelnię bez dyplomu, Juanie. Genialny, choć niezaangażowany student. Cieszę się, że to właśnie ja przywracam spokój i poczucie stabilności twojemu życiu.

— Doceniam to, Charlie.

— Jak myślisz? Kiedy?

— Może jutro.

— Powiedzmy, że jutro, i to definitywnie. Dzięki cudom elektroniki możemy dokonać transakcji z prędkością światła. Potrzeba jedynie dobrej woli. Podczas śniadania w La Parroquia. Ja stawiam. — Charlie wręcza mu karteczkę. — Numer konta. Mówisz, że sprawa jest załatwiona. Ja dzwonię i uzyskuje potwierdzenie. A potem żyjesz długo i szczęśliwie.

— Okay.

Charlie wskazuje wodę.

— Dzisiaj jest dziewiąty lutego. Cóż za zbieg okoliczności.

— Hm?

— Rocznicą masakry, totalnej grabieży. — Charlie zatacza ręką łuk w stronę lądu, ku bramie, czyli kamiennemu monolitowi wzniesionemu przez człowieka. Mur po tej stronie dawno już zniknął. Stoją na ziemi, którą naniesiono w latach pięćdziesiątych. — Znajdujemy się na poziomie morza. Przed wzniesieniem fortyfikacji piraci przybijali po prostu do brzegu i wkraczali na ląd. Tragedia, tragedia, tragedia.

Juan myśli o piratach Teresy. Opowieść Charliego musi zawierać jakiś morał, ale nie pyta, co to takiego.

— Juan Gama to hiszpański odpowiednik Johna Doe, innymi słowy przeciętnego zjadacza chleba — ciągnie Charlie. — Naiwnie proste, ale ma w sobie coś sympatycznego i figlarnego.

Juan nie znajduje słów, patrzy tylko na swoje stopy.

— Niestety, żyjemy w dorosłym świecie, Juanie — dodaje Charlie.

• • •

Charlie siedzi na brzegu łóżka. Jest wczesny wieczór, a on obserwuje ciemniejący horyzont i morze, coraz żywotniejsze. Charlie znajduje się na poziomie czwartego piętra, być może bezpośrednio nad miejscem, w którym piraci odwalali swoją robotę. Ten hotel cieszył się popularnością podczas spekulacyjnego boomu naftowego na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Teraz jest nadgryziony zębem czasu, niezupełnie czysty i prawie pusty.

Charlie nie ma nic przeciwko temu. Nie przepada za ludźmi i lubi się cieszyć swoją prywatnością.

Składa automatycznego colta .25, rozkłada i powtarza wszystko od nowa do chwili, aż każda ruchoma część broni pokryta jest cieniutką warstwą smaru. Ściera jej nadmiar i podziwia ten mechaniczny wytwór ludzkiej wyobraźni, który pasuje doskonale do jego dłoni.

Przeszmuglowanie broni nie stanowiło najmniejszego kłopotu. *No problema*. Klienci Charliego przewieźli go do Monterrey na pokładzie prywatnego odrzutowca. Tutaj przybył czarterem.

Podchodzi do okna i podnosi nabój ku gasnącemu światłu. W domowym warsztacie Charlie wydrąża fabryczną amunicję, aż ołowiane ścianki stają się niemal przezroczyste.

Nikt nie potrafi działać z tak bliska jak ja, myśli z dumą. Nikt. I Charlie ma rację. Sympatia, jaką budzi, pozwala mu załatwiać sprawę z bliska. Wszyscy lubią Charliego. Nawet najbardziej podejrzliwa ofiara nie ma zwykle pojęcia, co ją czeka.

Zimna stał przy uchu. Natychmiastowa świadomość zdrady. Jeden strzał o niskiej prędkości pocisku, niewiele głośniejszy od klapsa, kanał słuchowy jako naturalny tłumik. Bulgot dobywający się z ust, gałki oczne uciekające w górę niczym rolety, potem nicłość. Nie ma bałaganu, nie ma sprzątanina.

Specjaliści medycyny sądowej, którzy usuwali pociski z papkowatych mózgów jego ofiar, twierdzą, że kule przypominają pająki. Jest to jedyny pewniak w legendzie Charliego Peashootera, który posługuje się damską bronią i nigdy nie chybia.

Charlie wsuwa colta do kabury, zahipnotyzowany spektakularnym pokazem światła, wyjącego wiatru i zacinającego niemal poziomo deszczu. Drzewa palmowe wyginają się jak łuki, a na powierzchni hotelowego basenu widać białe grzywacze. Nigdy wcześniej nie był w tropikach i teraz jest zdumiony. Wydaje się, że pogoda zmienia się tak szybko, jak podają to w telewizji, gdzie gadające i starannie ufryzowane

głowy komentują zdjęcia satelitarne.

Niepokoi go to zadanie dotyczące Juana Gamy. Jego zleceniodawcy wysłali go natychmiast, gdy tylko zlokalizowali Juana i zorientowali się w jego śniadaniowych nawykach. Charlie nie ma zielonego pojęcia, jaki jest adres Juana, choć zdołano ustalić, że mieszka niedaleko z kobietą o imieniu Teresa i jej bratem Perezem.

Juan to kapryśny młody człowiek, któremu brakuje wdzięku. Sprawia jednak wrażenie rozsądnego. Powinien pojawić się jutro. Kiedy już poda magiczny numer konta, a transakcja zostanie przeprowadzona, on, Charlie, zwabi go w jakieś odludne miejsce i załatwi sprawę do końca. Bądź co bądź, nie chodzi wyłącznie o pieniądze. Chodzi też o zasady. Żelazne zasady.

Charlie gasi światło. Kłaść się z kurami. To jego dewiza.

Wpatruje się w upstrzony przez muchy sufit i znów nie może się nadziwić, że jego zleceniodawcy często przedkładają zemstę nad finansową rekompensatę. Nie może tego zrozumieć, tak jak nie może zrozumieć seryjnych zabójców. Nigdy ich nie pojmował. Dlaczego nie zabijać dla zabawy i jednocześnie zysku?

Ziewa i dochodzi do wniosku, że są ludzie i ludziska.

• • •

Juan Gama wpatruje się w sufit, który nie jest upstrzony przez muchy. Teresa to niezwykle sumienna gospodyni.

— Masz jakieś kłopoty?

— Dlaczego pytasz?

— Chodzi o to, jak się zachowywałeś, kiedy wróciłeś po śniadaniu. — Teresa się waha. — I o to, jak zachowujesz się teraz, jak mnie tuliłeś, kiedy już przestaliśmy się kochać. Nigdy wcześniej mnie tak nie tuliłeś.

Teresa jest starsza od Juana. To serdeczna, namiętna kobieta z lśniąco czarnymi włosami i ufnymi oczami. Ma obfite biodra i sięga mu wzrostem do ramion. Pracuje jako agentka biura podróży w hotelach. Juan poznał ją podczas jednodniowej

wycieczki do majańskich ruin w Edzna. Juan wyróżniał się w grupie francuskich turystów.

Potem zabrał ją na kolację. Jedli smażonego granika i pili wino. Potem znowu pili i trzymali się za ręce. Teresa powiedziała mu, że sprawia wrażenie zagubionego. Już nie, odparł.

Teresa wzięła Juana do swojego domu w starym mieście otoczonym murem. Od tej pory tam mieszka, pospołu z jej beużytecznym bratem Perezem, który jest w jego wieku. Teresa jest dla Juana kochanką, matką i najlepszym przyjacielem. Wszystkim tym i czymś więcej.

Otoczone murem miasto znajduje się w samym środku urbanistycznej odnowy. Po obu stronach wąskich uliczek wykładanych gładkimi białymi kamieniami biegną rzędy parterowych i jednopiętrowych domów o ozdobnych drzwiach, kutych w żelazie balkonach i pastelowych tynkach. Te, które nie zostały jeszcze doprowadzone do ładu, są w trakcie remontu; z chwiejnych bambusowych rusztowań zwieszają się wiadra z farbą. Miasto pokrywa się każdym kolorem, z wyjątkiem lukrecji.

Dom Teresy jest mandarynkowy. Jej frontowy pokój to minimuzeum. Jako osoba wywodząca się z prastarej miejscowej rodziny — niektórzy z jej przodków walczyli z piratami, jak twierdzi — ma ich pradawne portrety, a także wizerunki złych osobników pokroju Pete'a Kuternogi i Czarnobrodego. Przechowuje starą broń — w rzeźbionym kredensie i na ścianie — pistolet skałkowy, kulę armatnią, garłacz i kuszę.

Powiew sztormu wprawia w drżenie drewniane żaluzje, które stukają jak pałeczki perkusyjne. Juan wstaje z łóżka i opuszcza żaluzje.

— Czułam, że przed czymś uciekasz, ale nie chcesz mi się zwierzyć.

Leży na boku, obrócona do niego plecami.

— Nie chcę cię niczym obarczać — zapewnia, nie do końca kłamiąc.

— Możesz, Juanie.

— Wszystko będzie dobrze.

— Twoje imię i nazwisko. Juan Gama. Wiem, że nie są prawdziwe.

— Chciałabyś poznać moje prawdziwe...

— Nie. Chcę cię znać takim, jaki jesteś.

Juan Gama — John Doe, myśli. Musiał stracić rozum. Całkowity idiotyzm. No, ale zawsze traktował życie jak grę.

Jest pewien, że ona śpi, kiedy słyszy jej pytanie:

— Widziałeś dziś Pereza?

— Nie — kłamie.

— Nie słyszałam, żeby wrócił. Ten okropny sztorm, *El Norte*. Mam nadzieję, że go nie dopadł.

Zimne wiatry północne, które czasem się pojawiają, miejscowi nazywają *El Norte*.

— Nic mu nie będzie. To duży chłopak.

— Nie jest dużym chłopakiem, Juanie. To dziecko.

Juan udaje, że zasypia.

— Czasem przypominasz mi Pereza, Juanie.

Juan nie zasypia. Nie potrafi zmrużyć oka. Wie, że choć Charlie wydaje się porządnym gościem, to jednak jego dobroć ma swoje granice.

Gdybym tylko miał pieniądze, które mógłbym mu dać, ubolewa w duchu.

• • •

Charlie Peashooter popija kawę w La Parroquia; już dawno minęła pora, kiedy Juan Gama je śniadanie. Charlie jest rozczarowany, ale nie zaskoczony. Trudno mu sobie wyobrazić, by chciwość przyćmiewała komuś instynkt samozachowawczy, ale taka jest ludzka natura.

Sztorm trochę zelżał. Nie przyprawia już oczu o łzy i nie wzbija małych tsunami w kałużach brudnej wody. Nie jest to idealna pogoda na lot. Jednakże nie ma tego złego. Charlie słyszy, jak taksówkarz przy sąsiednim stoliku skarży się kelnerowi, że żaden samolot nie może wylądować na lotnisku

z powodu bocznych wiatrów i wody na pasie startowym.

Lotnisko, myśli Charlie. Zdaje się na wycucie i pyta kelnera, gdzie jest Juan, i dowiaduje się od mężczyzny, że Juan powiedział, iż wylatuje dziś rano z miasta na krótką wycieczkę.

• • •

Perez patrzy przez pokrytą strugami wody szybę. Samolot na pasie nabiera szybkości, jego koła wzbijają pióropusze wody. Unosi się bez trudu nad ziemią. Maszyna Pereza mogłaby wznieść się z taką samą łatwością, żeby zabrać go podczas lotu powrotnego do miasta Meksyk, ale nie ma jej tutaj. Można w takich warunkach wystartować, ale nie wylądować, została więc zawrócona.

Perez nie rozumie latania — jak podczas złej pogody samolot może wzbąć się w górę, ale nie może wylądować. Zamawia w barze jeszcze jedną whisky. Taki już jego pech, że *El Norte* szaleje od trzech dni. Chwilami czuje się tak, jakby nad głową wisiała mu wielka czarna chmura.

Gringo, chłopak jego siostry, od którego nigdy nie dostał nawet peso, wręczył mu bilet na samolot i pieniądze na jedzenie, bary i pokój hotelowy, który zarezerwował w Meksyku. *Gringo* powiedział, że interes, który miał tam załatwić, został odwołany, po co więc zmarnować taką okazję?

Gringo nie miał żadnych interesów, o których Perez by wiedział, i nie ruszył się z domu od czasu, kiedy wlaźł Teresie do łóżka, ale Perez się z nim nie spierał.

Perez pije i się uśmiecha. Podejrzewa, że za tym wszystkim stoi Teresa, która chce, żeby brat usunął się na kilka dni, by mogła pobyć sama z *gringo* i wyciągnąć od niego propozycję małżeństwa. Choć Juan nie jest kimś szczególnie atrakcyjnym jak na *Anglo*, Teresa zdaje się go lubić bardziej niż on ją.

Jeśli chodzi o to, czy Juan zostanie, czy też nie, Perez nie ma ustalonej opinii. Facet jest bogaty jak każdy *gringo*, ale do chwili tego prezentu pod postacią wycieczki nie pojawiły się żadne pieniądze. Dom należy również do Pereza, a Teresa jest

pracowita. Przez brak szczęścia i złych szefów Perez nie potrafił się utrzymać w żadnej robocie, ale dzięki siostrze na stole zawsze jest fasola i tortille.

— Będzie tak łać przez czterdzieści dni i nocy, jak w czasie potopu? Jeśli zobaczysz łódź ze zwierzętami, zwiewaj na wzgórze.

Perez śmieje się z tego oklepanego dowcipu, który padł z ust stojącego obok *gringo*. Facet posługuje się łamanym hiszpańskim.

— Cholerny pech — ciągnie *gringo*. — Na lotnisku w Meksyku czeka na mnie moja dziewczyna.

— Człowieku, nie musisz mówić mi o pechu — zapewnia Perez.

— Spędziłem dwa tygodnie w Campeche. Doradztwo. Cholernie tęsknimy do siebie. Jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

Perez rozumie. Tamten się uśmiecha szeroko i mruga. Jest tak uprzedzająco grzeczny i odznacza się głosem o tak doskonałym brzmieniu, że powinien być prezenterem w amerykańskiej telewizji.

— Współczuję, stary. Jadę tam na urlop. Jeśli ma się pieniądze, to wszędzie się można zabawić.

Gringo wzdycha.

— Kiepsko z naszym samolotem. A ma nas odwiedzić siostra mojej dziewczyny. Jest w twoim wieku. Diabelnie gorąca.

Perez patrzy na niego.

Gringo unosi dłonie i zakreśla w powietrzu kształt klepsydry. Perez znów skupia uwagę na samolotach, które kołują na pasie startowym i rozbryzgują wodę. Ostatnio handlował na ulicy drewnianymi replikami statków pirackich, których nie chciał kupić żaden turysta. A teraz, kiedy wreszcie ma w portfelu plik pesos, los pozbawia go przyjemności.

Gringo strzela palcami.

— Mam pomysł. Podobno w Méridzie się przejaśnia. Jestem pewien, że startują stamtąd jakieś samoloty. Daleko to?

Mérida, stolica stanu Yucatán, leży w odległości trzech godzin

jazdy samochodem, prosta droga, wyjaśnia Perez i dodaje:

— Z powodu pogody może to potrwać trochę dłużej, choć niewiele.

— Mam samochód, ale nie wiem, jak tam dojechać.

— Ja wiem — zapewnia Perez.

— Wyświadczyłbyś mi przysługę, uwalniając mnie od siostrzyczki. Wyglądasz na człowieka, który potrafi to załatwić.

Kolejny uśmiech i mrugnięcie. Jest miłym, przyjacielskim gościem, poza tym łączy ich wspólny problem.

— Dlaczego nie? — mówi Perez. — Co mam do stracenia?

• • •

Następny dzień, niedziela, jest jasny w przeciwieństwie do chłodnego i posępnego nastroju Juana. Teresa proponuje, żeby wzięli jedzenie i coś do picia i poszli na główny plac. Będzie koncert i wielki tłum. Popatrzą sobie na ludzi i posłuchają muzyki.

— Prześladują cię demony, które masz w głowie, a ja martwię się o Pereza. Zapomnijmy o tym — mówi.

Juan wzrusza ramionami.

— Poznał jakąś kobietę. To wszystko.

— Spakował wczoraj rzeczy i nie powiedział mi ani słowa.

— Jest dorosły, Tereso.

— Tylko według metryki, Juanie.

Juan puszcza to mimo uszu. Proponuje, żeby kupić jedzenie i drinki na straganach, ale oszczędna Teresa pakuje chleb, ser i napoje. Od placu dzieli ich osiem przecznic; Juan niesie koszyk, drugą ręką ściska jej dłoń. Ponieważ to koniec ich związku, chwila wydaje się słodko-gorzka.

Juan jest przekonany, że Perez przebywa obecnie w mieście Meksyk, że je, pije i używa sobie na całego. I wie, że wystawiając Charliego do wiatru, naraża się na poważne reperkusje. Juan wyobraża sobie, jak Charlie udaje się na lotnisko i wyciąga odpowiednie informacje od jego pracowników. Informacje dotyczące planu podróży Juana Gamy.

Gdyby Charlie wiedział, gdzie mieszka, to zjawiłby się u Teresy, nie w knajpie. Juan oblicza, że ma jeden dzień, by uciec. Dzisiaj.

Siedząc na ławce, patrzy na ludzi i kapelę. Nie widzi i nie słyszy niczego. Jego myśli wędrują ku ruletce, najczystszej z gier w kasynie.

Samo koło, bogato inkrustowane drewnem, wirujące na precyzyjnych łożyskach, jest tworem piękna. Czy to w ruchu, czy w spoczynku, potrafi hipnotyzować. Od gracza nie wymaga się jakiegokolwiek uczestnictwa. Kładzie się na planszy pieniądze, a krupier je zgarnia.

Juan Gama, specjalista od statystyki z matematycznym umysłem; kto jak kto, ale on powinien odznaczać się rozsądkiem. Nie potrafił się powstrzymać, tak jak człowiek uzależniony od heroiny nie potrafi się powstrzymać przed wbiciem igły w żyłę. Na podobieństwo jednego z tych zdegenerowanych hazardzistów tracił swoje zyski z liczenia kart równie szybko, jak się pojawiały.

Ma dość pieniędzy, by przeżyć następny rok. A potem co? Będzie się o to martwił po upływie dwunastu miesięcy. Dzisiaj problem stanowi Charlie.

Wyrozumiały Charlie... Czy okazałby współczucie, gdyby Juan zdołał go przekonać, że stracił mnóstwo pieniędzy, grając w ruletkę? Jak brzmi to powiedzonko? Jesteś tylko chwilowym właścicielem zasobów kasyna? Czy Charlie przekazałby swoim szefom, że mimo wszystko odzyskali swoje pieniądze, bo wróciły do nich?

Jasne, czemu nie. Cuda się zdarzają.

— Dobrze się czujesz? — pyta Teresa.

— Co?

— Nie chcesz ze mną rozmawiać. Jakbyś był w transie.

— Przepraszam.

Teresa wstaje z miejsca.

— Ponieważ nie bawisz się dobrze, ja też nie potrafię. Zresztą i tak chcę sprawdzić, czy Perez jest w domu.

Dlaczego nie? — myśli Juan, podnosząc się wolno z ławki. Obejmuje Teresę i ruszając niespiesznie, zaczyna opowiadać jej o wszystkim.

• • •

Charlie Peashooter jest pod wrażeniem. To małe mieszkanie sprawia wrażenie niezwykle schludnego, a salon to antykwariat pełen militariów, nie wspominając już o galerii łotrzyków: piraci i kolonialni bogacze na portretach. Widać dotyk kobiecej dłoni — serwetki i woń świeczek. Wystrój jest zapewne dziełem siostry tego pechowego chłopaka z problemem alkoholowym.

Żeby dostać się do terminalu, Charlie kupił bilet do Cancún. Kiedy nie zauważył nigdzie Juana, wysnuł logiczny wniosek, że facet posłużył się kimś w swoim planie, obliczonym na zmylenie przeciwnika. Kolejny element logiki: po co Juan miałby się wypaplać przed kelnerem, jeśli chciał zwać z miasta? Wystarczyło dać w łapę pracownikowi biura i dowiedzieć się, że człowiek o imieniu Perez też nabył bilet. I zidentyfikować go.

Niewykluczone, że nieuczciwe zyski Juana Gamy nie znajdują się na jakimś zagranicznym koncie, myśli Charlie. Może Juan jest staroświecki i chowa wszystko w materacu. Domysł okazuje się słuszny. W pudełku na buty, w małym schowku za garderobą, być może nieznany nawet pani domu, znajduje się drugie pudełko z piętnastoma tysiącami w zielonych i pesos.

Juan podsuwa mu drobną sumkę. Będą jednak musieli uciąć sobie pogawędkę o tym koncie na Wielkim Kajmanie.

Charlie wygląda przez szczelinę w zasłonach. I oto jest ten śmierdziel, wraca do domu z pikniku. Jego uroczym pulchną damą ma zaczerwienione oczy i ściska jak skarb chusteczkę. Charlie cofa się w mrok.

• • •

— Jak mogłeś zrobić Perezowi coś takiego? — pyta nie po raz pierwszy pociągająca nosem Teresa. — Wystawić go na wabia?

— Hej, świetnie się teraz bawi — zapewnia Juan. — Charlie szuka mnie, nie Pereza. Nic mu się nie stanie.

— Już coś się stało. Czuję to. Jak mogłeś mnie przez tyle miesięcy oszukiwać?

— Nie oszukiwałem. Tylko, hm, nie mówiłem ci wszystkiego. Ale zamierzałem to wkrótce zrobić.

— Kłamiesz. Kiedy wyjeżdżasz?

— Bezzwłocznie. Wrócę, jak tylko będę mógł. Obiecuję.

— Kłamiesz. Co to za zapach?

Są już w środku. Juan ma właśnie zamknąć drzwi, kiedy zastyga bez ruchu. On też to wyczuwa.

— Męskie perfumy. Nigdy ich nie używałeś.

— Ja używam. — Charlie wyłania się z cienia. — Proszę mi wybaczyć. Drzwi były otwarte.

— Kłamiesz — oświadcza Teresa, cofając się w stronę Juana. Juan staje przed nią, chroniąc ją swoim ciałem.

— Posłuchaj, Charlie, potrzebuję jeszcze kilku dni.

Charlie wzdycha i robi współczującą minę.

— Juanie, Juanie, Juanie. Trzeba się było zdobyć na szczerość. Zawiodłem się na tobie. Doszlibyśmy do porozumienia.

Juan zwiesza głowę.

— Gdzie jest mój brat? — pyta Teresa.

— Młody obiecujący człowiek. Mogę się założyć, że hula sobie w Meksyku. Och, przepraszam, siostró — odpowiada Charlie, mrugając przy tym porozumiewawczo.

— Kłamiesz. On też. Obaj kłamiecie.

Charlie patrzy na Juana wzrokiem pełnym rozbawienia.

— No cóż, wiem, skąd pochodzi określenie „meksykańska złośnica”, szczęściarzu. No dobra, Juanie, jak wygląda nasza sytuacja?

— Jeszcze jeden dzień, Charlie. Jest problem z numerami kont...

— Przestań go okłamywać, to może on przestanie okłamywać mnie.

— Słucham? — zwraca się do niej Charlie.

Teresa patrzy na niego, wpatruje się w jego martwe, serdeczne oczy. Wie, że to się nie skończy dobrze.

— Nie ma żadnych pieniędzy oprócz tych, które chowa w moim domu, i myśli, że o tym nie wiem. Powiedz mi, gdzie jest mój brat, a będziesz mógł wziąć tę forszę i pójść sobie.

— Nie ma pieniędzy? — zwraca się do Juana Charlie. — Muszą być.

— Są. Naprawdę są, Charlie.

Juan wymawia słowo „naprawdę” jak sprzedawcy samochodów w telewizyjnych reklamach. Charlie uświadamia sobie teraz, że nie ma żadnych pieniędzy. Przykry fakt, owszem, ale rozwiązywanie tej sytuacji się nie zmieni.

Przysuwa się do Juana, klepie go po ramieniu i mówi:

— Pieniądze. Skoro tak twierdzisz. Doskonale. Do diabła, wystarczy znaleźć telefon i wyjaśnić wszystko. Miejmy to już z głowy, okay?

Juan stoi jak przykuty do miejsca.

Charlie obdarza go ujmującym uśmiechem, a potem daje kuksańca, który jest dość bolesnym kuksańcem.

— Chodź, waśniaku, jeden telefon wszystko załatwi.

— Nie — mówi chrapliwym szeptem Teresa.

Ale nie stoi już tam, gdzie poprzednio, za plecami Juana. Przesunęła się w cień. Może ją też będzie musiał załatwić. Trzy zlecenia za cenę jednego. Życie jest jednak niesprawiedliwe.

Zdażył już niemal wypchnąć Juana na zewnątrz. Trzymając mocno za nadgarstek swoją ofiarę, Charlie się odwraca. Mruga, przyzwyczajając wzrok do mroku, i spogląda z tym swoim uśmiechem na Teresę. Zerka na ścianę pełną pirackich pamiątek. Czegoś tam brakuje.

Sięga do kieszeni, doznając olśnienia i wiedząc, co to takiego. Sięga za późno. W chwili gdy dobywa pistoletu, belt przeszywa mu krtań.

— Raz już przegnaliśmy takich jak ty. Możemy zrobić to ponownie — oświadcza Teresa.

Nie mówi do Charliego Peashootera, który leży na podłodze i jej nie słyszy. Mówi do Juana, który wypada za drzwi i rzuca się do ucieczki, podczas gdy ona znów ładuje kuszę.